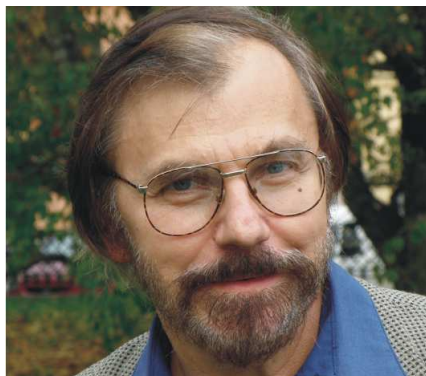


Listy do Pani A. (78)



Jeszcze żyjemy

Kochana Pani!

Styczeń wnosi trochę optymizmu, zaczyna szybko przybywać dnia, choć jeszcze zima, to jednak coraz bliżej wiosny. Za trzy miesiące powitamy czas letni, a na początku kwietnia już Wielkanoc. Poczynam się tym po smutnym grudniu, który powinien być radosny i gwiazdkowy.

Po smutnym grudniu, a właściwie listopadzie... Zadzwoił do mnie Jan Stanisław Kiczor z hiobową wieścią. Oto zmarł Zbyszek Irzyk. A tak niedawno (pisałem o tym w poprzednim liście) w Klubie Księgarza byłem na świetnym spotkaniu ze Zbyszkiem i jego książką.

To wprost nie do wiary. On przecież był i powinien być zawsze! Czy w miewała Pani takie wrażenie, że ktoś, kto w naszym życiu jest ważny, nigdy nie odejdzie? Jest jakby potwierdzeniem i naszej nieśmiertelności, stabilności, wiecznego trwania? Często małe dzieci mają to poczucie w odniesieniu do rodziców. W miarę dojrzwania, starzenia się chcemy to poczucie ocalić, chociaż racjonalna rzeczywistość jest przecież inna. Zbyszek był dla mnie taką „przeciwwagą” przemijania. Był, jest, będzie... Jakby swoistym gwarantem nieśmiertelnego trwania... I nagle go nie ma. Zostaje dojmujące poczucie pustki, kiedy się o tym myśli. Ale umysł wypiera to poczucie. Wydaje się, że jest. Nie dopuszcza się do świadomości myśli, że odszedł nieodwracalnie.

Pojechaliśmy z Tchorzewskimi na pogrzeb do Jablonny. Była msza, na katafalku skromna urna... I zdjęcie. To z okładki „Bywało zabawnie”. Ksiądz nawet nie gadał głupstw, ani nie zachowywał się po chamsku, jak często potrafią inni przy okazji pogrzebów. Bardzo dobre wspomnienie wygłosił nasz wspólny znajomy i przyjaciel Irzyka – Waldemar Śmaszcz, znany krytyk literacki i publicysta.

Zabawne też jest to, że po śmierci ma się cały tłum przyjaźni. Nawet Ci, którzy wobec nas wykazywali postawy będące odwrotnością przyjaźni. Bo przy okazji można poprawić swój wizerunek i podbudować własne ego. Po śmierci Zbyszka również objawiło się trochę wilków w skórze przyjaźni najszerszej.

Zbyszek miał wybitne poczucie humoru i absurdu. Świetnie się rozumieliśmy, mnożyliśmy kalambury, wymyślali różne sytuacje. Bawiliśmy się słowem, pojęciami, skojarzeniami. Zbyszek bardzo to lubił i – co najważniejsze – rozumiał. Pamiętam, jak ku jego rozbawieniu śpiewałem: „Spoza gór i rzyk”. A Zbyszek dodawał: „wyszliśmy, i rzyk”. To były niezapomniane czasy,

niezapomniana i niespotykana przyjaźń. Zresztą Zbyszek był moim dalekim kuzynem, ale tę historię chyba już Pani opowiadałem. Przypomnę tylko, że jego lwowska rodzina była spokrewniona z Łysakowskimi oraz Pomian-Malawskimi, a ci z kolei z Telakowskimi. Moja ciotka Poraj-Gruszczyńska, z domu Telakowska, była żoną mojego wuja Wojciecha. I na tym polegały nasze związki rodzinne. Bardzo, bardzo smutno.

Ale, jak powiadam, coraz dłuższe dni wnoszą więcej optymizmu. Już inaczej patrzy się wstecz, a z większą nadzieją w przyszłość. I na poezję. Dostałem od Marka Wawrzkiwicza nowy tom wierszy „Nawet Ty” z następującą dedykacją: „Drogi Stefanie, spojrzij tolerancyjnie na westchnienia liryczne starszego pana. Marek”. Pomyślałem sobie: „jakiego znów starszego pana?” Tak, Marek dla mnie nie jest żadnym starszym panem, choć przecież czas dotyka nas wszystkich. Należy w moim świecie do tych osób, które „były, są i będą”. Jest młodzieńczy, zwłaszcza poetycko. „Nawet Ty” to zbiór świetnych, mądrych, dowcipnych liryków podszytych nierzadko ironią, pełnych poetyckich, oryginalnych „zauważań”. To wiersze o miłości, o bliskości, a także o przemijaniu. Czytelne, osadzone w konkretności, obrazowe. Jest w nich trochę poczucia samotności, szczypta goryczy, ale też dużo optymizmu i własnie literackiego humoru.

O sytuacji poezji dobrze świadczą nowe tomy Jerzego Jankowskiego i Jerzego Paruszewskiego. Otrzymałem je od autorów będąc w Żyrardowie. Także tom wierszy Piotra Dumina. Dużo jest świetnych tomów, ale trudno to wszystko prześledzić, bo nie ma normalnego obiegu książki, zwłaszcza poetyckiej. Ciekawe jak długo jeszcze potrwa ta chora sytuacja.

Pojechaliśmy z Markiem Wawrzkiwiczem, Aldoną Borowicz i Andrzejem Tchorzewskim do Kielc na uroczystość XXX-lecia tamtejszego Oddziału ZLP. Miałem zadanie dosyć trudne, do którego długo się przygotowywałem. Staszek Nyczaj prosił, abym omówił po jednej książce każdego z literatów kieleckich. Zebrało się tego około pięćdziesięciu pozycji, zarówno poetyckich jak i prozatorskich. Omówienia musiały być siłą rzeczy skrótowe. Nie było też moją intencją wygłaszanie laudacji, więc niektóre oceny miały charakter bardzo krytyczny, chwilami dosyć złośliwy, ponieważ obok utworów bardzo dobrych zdarzały się wręcz slabiutki, by nie powiedzieć grafomańskie. A wiadomo, że autorzy są bardzo drażliwi, i obrażają się, jeśli się stwierdzi, że nie są genialni.

Całe moje wystąpienie trwało, z przerwą, przeszło półtorej godziny. Zastrzegłem, że będę mówił długo, ale to nie moja wina, ponieważ tak obszerny materiał mam do omówienia. I wszyscy jakoś wytrzymali do końca, a nikt nie protestował. Wiem tylko, że jeden z autorów nie został do następnego dnia, i wyjechał obrażony. Ale też potraktowałem go tylko według jego zasług...

W pewnym momencie podszedł do mnie pewien pan i nieśmiało poprosił, abym mu przysłał cząstkę mojego wystąpienia, którą poświęcęł jemu. Okazało się, że to Jan Chruśliński, bardzo dobry pisarz i ciekawy człowiek, niezwykle uczynny i mający dużo istotnych rzeczy do opowiedzenia. W drugim dniu mieszkaliśmy razem w apartamencie bursy kieleckiej. Był z nami jeszcze Janusz Termer, ale następnego dnia pojechał. Proszę sobie wyobrazić, że kiedy już się dobrze ze sobą oswoiliśmy (ale bez „oswajacza”, o którym zapewne Pani w tym momencie pomyślała) powiedział mi, że kiedy wszedłem do sali, to

pomyślał sobie, że nie da rady nawiązać ze mną kontaktu – z takim groźnie wyglądającym facetem. Ale kiedy zobaczył, że rozmawiam z innymi a nawet się śmieję, to pomyślał, że nie jest tak źle, i zdecydował się podejść i poprosić o ten fragment tekstu. Czy Pani też uważa, że budzę lęk? Wiem, że niektórzy się mnie boją, nie wiem dlaczego, ale niech już lepiej tak zostanie.

Pierwszego dnia mieszkaliśmy w Bibliotece Wojewódzkiej, gdzie odbywały się główne uroczystości, a po nich na następne dwie noce musieliśmy się przenieść do tej jakiejś bursy. Pan Jan zaproponował mi, że mnie tam podwiezie razem z bagażem. Nie musiałem więc brać ze sobą samochodu i tulać się po ciemku w nieznanym dobrze mieście. Bardzo tego nie lubię, przecież prowadzę w okularach, co dodatkowo zakłóca widoczność. A kiedy wyjeżdżaliśmy, znowu mnie podwiózł na parking biblioteczny, bym nie musiał bujać się autobusami z dosyć ciężką walizką. To była dla mnie duża sprawa, wielka pomoc. A towarzystwo Jana Chruślińskiego przy stole przez te dni świetne, rozmawialiśmy ciekawie o historii, regionie świętokrzyskim, oglądałem zdjęcia zamieszczone w jego dokumentalnych książkach.

Następnego dnia, też z panem Janem, pojechaliśmy do Strawczyna, by ogłosić wyniki Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego. Pogoda była piękna, słoneczna. Trochę pobjądziliśmy, ale dotarliśmy na czas. Były przemówienia, Staszek Nyczaj prowadził całą imprezę. Potem wracaliśmy do Kielc. Świeciło piękne, popołudniowe słońce, miałem nawet ochotę wracać do Warszawy, ale doszedłem do wniosku, że jeśli nawet następnego dnia byłaby gorsza pogoda, to jednak w dzień jechać wygodniej. I wygrałem – bo po zamgleniach porannych wróciło słońce i czyste niebo.

Niebo bywa zawsze bardziej czyste niż nasza rzeczywistość. Oto nad Skarpą Warszawską – perłą Stolicy – zbierają się chmury, bo towarzysze duchowni chcą tam wybudować bibliotekę seminarijną. Wprawdzie odważni ludzie protestują, ale wiadomo, że jak się czarna łapa wyciągnie po cokolwiek, to otrzyma, a nikt nie odważy się tę łapę odrąbać. Teraz obłudnie mówią, że to tylko plany, ale znamy tych hipokrytów, którzy potrafią nawet potajemnie coś wybudować na nieswoim, nawet bez zgody i pomimo zupełnie innych projektów. Strzeż się Warszawy, bo zostaną tutaj „bram cztery ułomki, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki”. O, gdyby teraz znalazł się taki biskup, utalentowany, pełen poczucia humoru, zamiast zgrai nadętych bałwanów!

Zobaczmy, co też przyniesie nam nadchodzący rok. Może atmosfera się oczyści. Następuje powoli zmiana pokoleń, chwieją się zmurzałe konstrukcje pojęciowe i polityczne. W końcu idziemy do przodu, choćbyśmy nawet ten pochód zamykali. Nie należy więc narzekać, bo malkontentów mamy wokół multum. Nawet wśród opozycyjnych działaczy, którym się w przeszłości nic nie podobało, i nie podoba się teraz to, o co tak zajadle walczyli.

Mam nadzieję, że Pani pomimo wszystko jasno patrzy w przyszłość. Teraz przybywa dnia, wiosna zbliża się wielkimi krokami i chce już zwyciężyć zimą, a my – jak śpiewamy co roku na Międzynarodowej Jesieni Galicyjskiej w pieśni do słów Andrzeja Grabowskiego – „jeszcze żyjemy”. Pozdrawiam Panią słonecznie i z całoroczną nadzieją!

Stefan Jurkowski